ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 10 czerwca 1922 roku. № 23.

Juljusz German. Powieść.

23) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Ta noc rozświetlała się powoli... Ujrzał, jak z biegiem potoku, który rwał rozpadliną na dnie skalnego jaru, przesyconego sypkim żarem słońca, szedł młodzieniec nagi, w hełmie jeno złotym na głowie, przepasany w smukłych biodrach mieczem, z tarczą u lewego ramienia na krótkiem, rzemiennem spoisku zwieszoną, zresztą lśniący gładkim nalotem topazów... Szedł, gdzie pęd strumienia wpadał w splątaną gęstwę rozłożystej zieleni, w której cieniu srebrzyło się coś nad wodą jasno, coraz jaśniej...

Rozwiązał się uścisk.

Błyskawiczne zjawy znikły.

Opłynęła ich przejrzysta cisza. Grał w niej przez sekund parę rytm serc dygocący, milknął, wracając znowu w takt jednostajny maszynerji ukrytej. Znowu...

Nachylili się ku sobie w niepewnem, gwałtownem oczekiwaniu. I w przeciwne strony cofnęli zaraz spojrzenia.

Zobaczyła wyrastającą z chudej, żylastej szyi twarz mężczyzny, zarysowaną ostro i szorstko, o ustach rozchylonych brutalnie, zmarszczoną rozpękanemi liniami w kątach oczu, pod rozburzonemi włosami nieprzytomnie dziką.

— To ten — ugodziła ją myśl przeszywająca — marzeniem bolesnem wołany, oglądany codziennie ubóstwiającym wzrokiem tęsknej niewolnicy?

Zaś ona wydała się Broniczowi jeszcze bardziej obcą, prawie nieprzyjemną. Skulona jakby w przestrachu, z głową ciężko w tył odrzuconą. Ciemne nozdrza w zadartym nosku... Z niesmakiem odrzucił sekundową pamięć o jej niezgrabnych gestach miłosnych, zbyt lękliwych i zarazem zbyt śmiałych. Ani śladu, ani śladu tej drugiej, dziwnej, objawionej w momencie szczerości, jak wieść o nowem pięknie, i w momencie szukanej z upragnieniem płomiennem.

Jednym rzutem woli wysłali myśli sprężone tęsknotą w pościg za głębią błysków, oddaleniem kolorowych a żywo świecących, które wyraźnemi obrazami niespodziewanie zalśniły, chcąc uchwycić się ich jak pociechy, zatrzymać je koniecznie, zatrzymać... W nadziei mglistej a gorącej, że obok teraźniejszej, nieznośnej chwili istnieje inna chwila, również obecna.

Przymknęli ciasno oczy, dotknęli się lekko dłońmi, wiedząc w tajni odczuwań, że, choć nielubiący się i obcy, wspólnym tylko porywem mogą te błyski wywołać z powrotem.

Wróciły... I ogarnęło ich, pajęczo powiewne a kojące wrażenie, że leżąc przy sobie nieruchomo, w milczeniu, są równocześnie w niewidzialnym świecie, gdzieś obok przecudownie żywym, że świetlne w nim postacie, w swobodnych, harmonijnych ruchach posągowo spokojne, z nich wstęgą promienną wykwitły, i jakby ich mówią głosami...

Rozświetliła się seledynową poświatą noc czarna, w którą patrzy przy oknie dziewczynka — kaleka... Coraz jaśniejsze światło rozsrebrzyło się w gąszczu zieleni... I w jeden blask zlał się seledyn ze srebrem...

Młodzieniec w hełmie rozchylił splot gałęzi. I powitała go białość, bielsza od pierwszych kwiatów jabłoni, giętka jak łodyga lilji, tchnąca świeżością strumienia i słodyczą leśnych jagód. Stała na podłożu ciemnofiołkowych wrzosów i mchów aksamitnych, wspierając głowę na rękach za szyją splecionych, podając dumnie naprzód tors dziewiczy. Z jej lic, strojnych powagą zadumy, wiał surowy wdzięk rozbudzonej wiosny i czar ze śmiechu ciszy, która czeka ufnie na pieśń tajemnicy.

— „Schroniłaś się tu przed żarem, co tryska z kół boskiego wozu, goniącego złocisciе po niebie. Lecz okazał mi życzliwość bóg tego strumienia, gdym w kąpieli rzeźwił się po bitwie, i do ciebie skierował me kroki".

— „Nie widziałeś mnie nigdy. Jestem dziecko lasu".

— „Ujrzeć ciebie musiałem. W krysztale wód biegła moja chęć miłosna, szedłem czujnie w jej ślady".

— „Nieznajomyś i zbrojny. A ja nie boję się niczego. Bo wiem od drzew i od nocy: strasznego niema nic".

— „Więc czemu stuliła ramiona, że piersi wyglądają z nich, jak kwiaty zlęknione a wonną rozkoszą nabrzmiałe? Piękniejszaś zaiste od wszystkich niewolnic, które mam w moim namiocie, choć każda z nich odmienną barwna jest urodą. A potężnej bogów mądrości spełniam nakaz przejasny: na coraz wyższe wspinać się stopnie coraz słodszego piękna".

— „Walczyłeś. Twe wargi wilgotne kolorem ludzkiej krwi, a nie malin czerwienią przytulną. I pocoś walczył?"

— „By w górze brzmiał śmiech bogów radosny, cieszących się z siły, którą mi dali. Bym w cień odsyłał życia tu niegodnych".

— „Lecz oczy masz dobre, jak światło księżyca".

— „Jakże się patrzy inaczej na urodę"?

— „Pięknyś. W słonecznym blasku twoje ciało".

— „Rwie się w niem wszystko do twojej białości, jak pęd tych fal, których moc żadna nie wstrzyma".

— „Spieszą się fale, lecz płyną wciąż bezustannie. A my zostajemy na brzegu"...

— „Na uśmiech czekam twój chętny".

— „Znam miłość leśnych stworów. Patrz, tam za krzakiem paproci przemyka się jeden, włochato obrosły. Porwał siostrę moją, co wśród

sasanek spała, z nogą przez ciernie zranioną. Uciekać nie może... Słyszysz jego krzyk? Tak szybko, jak ją porwał, porzuci ją znowu na mchy i pogna, by sycić głód owocami lasu. Inny musisz być, inny"...

— „Kochanko ciszy, hełm z czoła zabierasz, odejmujesz mi miecz z bioder i tarczę z ramienia. O, czemuś modre oczy rękami zakryła?

— „Podobnyś do nich, podobny. Ale w czystszej przychodzisz, bez zmazy jasności. Więc przez ciebie poznaję, że może przyjść jeszcze cudniejszy".

— „Uniosę cię do mego namiotu z purpury, uniosę na dłoniach jak w kołysce, byś stóp nie skaleczyła o kamienie. Będziesz wśród moich niewolnic najpierwszą".

— „Zostanę tu, dziecko lasu. Ucz mnie tylko, że fala miłości bezustannie płynie"...

— „Witaj w ramionach moich, pachnąca mgłą narcyzów".

— „Ciepłem dobrego snu spowijasz mnie łagodnie".

— „Najlepszaś, milsza niż słońce".

— „Najżyczliwszemi sobie są nasze oddechy".

— „Chciałbym, żeby uskrzydliła cię uciecha wszystkich kochanek szczęśliwych".

— „Chciałabym, żebyś innym wciąż był piękniejszy".

— Całuję na twych ustach iskrę, którą ze skarbca swej rozkoszy rzucili bogowie".

— „Na twych ustach całuję to wszystko, czego nie wiem, a co słodsze niż nadzieja".

— „Gdzie fala leci"?

— „Gdzie leci"?...

Seledynowo srebrzysta toń rozrzuciła się połyskiem granatu, jakby dłoń jakaś ogromna zasunęła nad nią zasłonę. W uciekających lśnieniach majaczyła surowego zachwytu pełna twarz dziewczyny, wpatrzonej w gęstwę drzew ponad strumieniem i echo głosu rozwiewało się jak szmer wody: „Strasznego niema nic"... Migotała bladym topazem postać młodzieńcza... Tańczą koło niego bronzowe posążki niewolnic o ciemnych licach, wirując wzgórkami ponęt w ofierze pieszczoty, w żalu płomiennym, że ponęt zamało. Rozrywa ich koło, idzie dalej... Czeka ktoś wielki, czarny, groźny, jak widmo olbrzyma, i mroczy resztę błysków rozsypujących się jak snopy skier gwiaździstych...

Zerwali się oboje z pościeli.

Pajęczo powiewne, ukojeniem wzniosłe uczucie, że byli gdzieś ponad sobą, w chwili, która z obecnej inną teraźniejszością wyrosła, uleciało, zgasło.

Związek jednego porywu, co wywołał toń głękoką jakby lśnień sennych na jawie, rozdarł się w nagłym ciosie, odrzucając ich szorstko od siebie, dzieląc ścisłą, ostrą granicą ich istoty.

Wydało im się na sekundę, że cięższa cielesność ich powlekła.

Szara błyskawica zapomnienia w lot spopieliła zjaw wyraźne obrazy. Jak cień ich ostatni uchwyciła Irenka myśl mgławicową: „Tak być mogło, może tak jest"...

Jak echo głosów, strąconych w otchłań niepamięci, zagrała Broniczowi wieść cicha: „Jednak widziałem jeszcze raz tę drugą"...

Spojrzał na Irenkę. Obca, zimna... Ten wiew tuberoz i muszkatu prawie duszący...

Pobiegła w kąt pokoju, na bosych stopach niepewna, zaczęła się ubierać z zaciekłym pospiechem, w suchych, ciemnych rumieńcach na hożej, śmiesznie pulchnej twarzy zepsutej a obrażonej pensjonarki.

Z lekkim przymusem sprowadził na usta uprzejmy uśmiech zwykłej życzliwości.

— Tak się spieszymy? To nieładnie...

— Już strasznie późno—szepnęła przygryzając wargi i ściągając cienkie brwi — nie jestem przecież w domu sama...

— Kiedy przyjdziesz, milusia?— spytał grzecznie.

Wstrząsnęła się nagle. Milczała. Podeszła do niego, dopiero zupełnie ubrana. Stała przez chwilę ponura. Potem przesunęła nieśmiało i niezgrabnie dłonią po jego twarzy i cofnęła ją zaraz gwałtownie. Rzekła z trudem, powoli:

— Ale w biurze to już od jutra nie będę...

— Dlaczego? Niema sensu — zaprotestował nieszczerze, bo równocześnie przyznała myśl ostrzegająca: „Tak, z tą, co stoi tu przedemną i którą codzień widuję, nie mam już nic wspólnego"...

— Już tak... — zatrzepotała powiekami, mięła w palcach chusteczkę. — Tak trzeba...

— Nie chciałbym się sprzeciwiać, choć przykro mi naprawdę. Jednak, jeśli koniecznie... Ale postaram się dla ciebie o doskonałą posadę w „Elektropolu".

— Będę bardzo wdzięczna. Więc do widzenia.

Ujął jej rękę, zatrzymał w dłoni.

— Pocałujmy się przynajmniej...

Ugodziło weń spojrzenie jej oczu szeroko rozwartych, odważnie zjaśniałych.

— O, już teraz na nic uprzejmość. Moich ust nie lubisz, wiem. Ale, że było między nami coś dziwnego, że było...

Serdeczna, wstydliwa radość zadźwięczała melodyjnie w jej głosie.

— Dziękuję, dziękuję...

Wyrwała mu rękę i uciekła, nie oglądając się i drzwi zamykając z trzaskiem.

Coś dziwnego...

Powiała nad Broniczem słodycz zbawczej, przemocnej nadziei.

Po chwili pomyślał z gniewem: „Wątłe błyski, mamidła. Moja droga musi być prosta.

Zacisnął pięści: „Rąbać będę ją sobie dalej. Szkoda tylko, że one wszystkie jak niewolnice. Lili, jedna Lili"...

Odegnał myśl, w bezgranicznej czułości spromienioną, a bolesną, niewygodnie gniotącą. Usiadł przy biurku, zagłębił się w listach, depeszach, obliczeniach, cyfrach. Pracował przez kilka godzin rzeźwo, usilnie.

Położył się wreszcie, zasnął zaraz snem twardym, odżywczym.

O szarym, pierwszym świcie obudził się, odruchem przyzwyczajenia spojrzał na zegarek.

— Pięć minut po szóstej...

Przeciągnął się z zadowoleniem: —O, jeszcze wyśpię się znakomicie.

Ledwo zmrużył powieki, obrazem utrwalonym w najżywszych konturach zabarwiło się tęczowo migotliwe światło snu:

Czerwone mury cytadeli. Nad miastem bladoniebieska mgła, o słabych różowych przebłyskach. Na okopach taje śnieg, czarnemi plamami rozdarty. Na stoku pagórka wbity w ziemię jakiś rdzawy słup. Obok zwał rozkopanych grud i trumna z nieheblowanych desek, z odsuniętem wiekiem. Występuje pluton żołnierzy. Kaski posępnie błyszczą groźną stalą. I rząd karabinowych luf zniży się w krótkim chrzęście... Na prawem skrzydle szeregu oficer chudy, nizki, z baczkami jak książę Józef... Dobywa szabli... A któż to pod słupem stoi? Któż?... Coś lśni jak złoto najbielsze, jak len...

Uniósł się na łóżku, przetarł oczy.

Wizja była tak przeraźliwie dokładna, że jeszcze teraz pamięta każdy najdrobniejszy szczegół, każdą plamę na śniegu, grę cieni i świateł na kaskach żołnierzy, kolor ich lekkich płaszczów i rzemieni, każdy rys twarzy tego oficera...

Pamięta, wciąż pamięta... A o tamtym obrazie sennym, który za przysłoniętemi powiekami zamajaczył rusałczanym blaskiem, zaraz zapomniał...

Co to było? Czy coś, co już się stało? Czy ma się stać dopiero?

Nie chciał tego więcej zobaczyć. I nie mógł już zasnąć.

Dalszy ciąg nastąpi.

Józef Relidzyński. Nowela.

2)

DAMA PIKOWA.

— Właśnie, mój drogi, wyobraź sobie, że mi się to wcale nie udało!

— Więc?

— Jest to poprostu historja z tysiąca i jednej nocy. Słuchaj tylko... Otóż, dowiedziawszy się od jej lekarza, z którym umyślnie się zaznajomiłem, a nawet—poniekąd zaprzyjaźniłem (szelma, doskonale gra w brydża!), że stan Izy jest groźny (cierpiała na uremję), kilkakrotnie, ostatnio jeszcze w przeddzień jej śmierci, usiłowałem wtargnąć do niej. Za każdym razem jednak zagradzał mi drogę stary sługus — mumja z piekła rodem! i nie wpuszczał mnie, jakoby z jej wyraźnego polecenia, poprostu mnie sobie lekceważąc. Uważasz, coś podobnego — mnie, jej rodzonego brata, Anastazego Brochwicza! Czysty bolszewizm, dalibóg!... Ostatniego dnia zrobiłem poprostu awanturę. No to, wyobraź sobie, przeklęty fagas staje przedemną z ręką w kieszeni — z ręką w kieszeni! i, patrząc na mnie takim wzrokiem, że aż mię ciarki przeszły, oświadcza mi ni mniej, ni więcej:— Panie, pani baronowa stanowczo nie chce się widzieć z panem. Stan chorej wymaga absolutnego spokoju. Mam nadzieję, że uszanujesz pan wolę i spokój osoby umierającej, w przeciwnym razie będę zmuszony użyć interwencji policji, czego pan chyba sobie i temu domowi oszczędzi!... Dosłownie przemawia do mnie w tym tonie! Wogóle, wyraża się jak hrabia, tylko z akcentem cudzoziemskim, i jest ciekawą, tajemniczą figurą. Poznasz go, gdy pojedziemy obejrzeć zapisaną nam willę, bowiem, wyobraź sobie, że nieboszczka, obdarzywszy go zresztą znacznym legatem, kategorycznie zastrzegła sobie w testamencie — była to jej ostatnia złośliwość! — że ma on nadal pozostać w willi w charakterze służącego, dopóki sam służby nie wymówi. Inaczej, byłbym niesamowitą bestję z miejsca przepędził! Łudziłem się nadzieją, że mi zaraz podziękuje, gdy będę go odpowiednio traktował. Jemu tymczasem ani się śni. Gospodaruje po dawnemu, zachowuje wyniosłą rezerwę, jakkolwiek, przyznać muszę, rozkazy wypełnia skrupulatnie; czasem tylko, gdy się uniosę, tak spojrzy na mnie, jakby mi kto kubeł zimnej wody na łeb wylał. Będziesz go więc miał na karku, ale trudno — niema róż bez cierni! Zresztą, pocieszam się tem, że wkrótce szlag go trafi, cuchnie już trupem... Wracając do kwestji, która cię interesuje, otóż na takie *dictum acerbum*, wypalone mi przez piekielnego famulusa, nie pozostało mi nic innego, jak się usunąć. Wyszedłem jak zmyty, klnąc naszego pecha, przekonany, że wszystko djabli wzięli. O śmierci Izy dowiedziałem się z gazet. Chciałem się zająć pogrzebem, ale obrzydła mumja do niczego mnie nie dopuściła. Powlokłem się na pogrzeb, bez cienia nadziei w sercu. Można sobie wyobrazić, jakie było moje zdumienie, gdy na trzeci dzień po pogrzebie dostaję nagle wezwanie do rejenta, który mi oznajmia, że na mocy testamentu ś. p. baronowej Izy Gorlitzowej, poza kilkoma zapisami dobroczynnemi, dla służby i t. d., generalnymi spadkobiercami całego jej majątku ruchomego i nieruchomego jesteśmy my, to jest ja i ty! Jako specjalny zapis dla ciebie figuruje ten słynny jej portret w kostjumie damy pikowej, na który niema wprost ceny.

— Jak się przedstawia *summa summarum* to wszystko? — przerwał gadatliwemu ojcu praktyczny syn.

— W gotówce około 10 miljonów, jakieś dwa razy tyle w akcjach. Było podobno znacznie więcej — niestety. Iza rozdała wiele „ciepłą ręką". Cóż chcesz? choroba, istna manja prześladowcza filantropji!... Zato wartość willi i jej urządzenia sięga znacznie powyżej 100 miljonów.

— Daj, Boże, zdrowie kochanej cioci! — wykrzyknął wesoło Brochwicz, któremu stary tokaj zakręcił trochę w głowie.

— Chcesz powiedzieć: wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie!— poważnie sprostował Brochwicz sr.— Światłość wiekuista niechaj jej świeci! — westchnął. — Istotnie, przybiła mię wprost swoją wspaniałomyślnością...

— I mnie! — dorzucił Stefan.

Było to wypowiedziane tak komicznie, że pan Anastazy mimowoli uśmiechnął się pod sumiastym wąsem, poczem, przybrawszy znów wyraz poważny, ciągnął:

— Aha, zapomniałem ci powiedzieć, ty trzpiocie niepoprawny, dla którego niema nic świętego, że w testamencie jest następująca klauzula: „wrazie śmierci brata mojego, Anastazego Brochwicza, i bezpotomnego zejścia ze świata mego bratanka, Stefana Brochwicza, sukcesorami moimi są porówno następujące instytucje (tu następuje wykaz szeregu instytucji społecznych i narodowych i t. d.).

— O to niema obawy, kochany papo! Co do ciebie, to jesteś wprawdzie stary, ale jary; co do mnie zaś, to ja postaram się już o to, abym nie zszedł ze świata bezpotomnie!

Pan Anastazy uśmiechnął się z rozczuleniem i poklepał jedynaka po ramieniu.

— A teraz, jak sobie tłumaczysz, papo, co mogło wpłynąć na tak sympatyczną dla nas decyzję kochanej cioci?

Pan Anastazy zafrasował się:

— Otóż w tem jest sęk! Biedzę się nad tą zagadką i nie mogę jej w żaden sposób rozwiązać... Kiedy Iza, po śmierci swego męża, przed samą wojną zjechała do Warszawy, wznowiłem oczywiście próby nawiązania z nią kontaktu. Starałem się z nią zobaczyć, nie przyjęła mnie. Napisałem do niej i wtedy to otrzymałem od niej list, pierwszy i ostatni od czasu naszego zerwania. Nie wspominałem ci o nim wówczas, bo był bardzo przykry. Zachowałem go jednak, aby kiedyś, gdy będziesz starszy i zrozumiesz zasadę, którą ja, niestety, zrozumiałem zbyt późno, że: „*tout comprendre c'est tout pardonner*" — dać ci go do przeczytania — pan Anastazy otworzył biurko i wyjął z kasetki list w kopercie z żałobną obwódką — masz, czytaj i osądź sam, jak nieboszczka była dla nas usposobiona i jak to usposobienie sprzeczne jest z jej ostatnią wolą.

Stefan wyjął z koperty pożółkłą ćwiartkę wytwornego papieru, zapisaną charakterystycznem, podłużnem pismem i czytał:

— Anastazy! Nie pisz do mnie, ani nie próbuj się ze mną zobaczyć. Wykreśliłam cię z mojej pamięci i przeklęłam za krzywdę, którą mi wyrządziłeś. Wiem, że i ja nie byłam bez winy, ale moją winę tłumaczy wielka miłość i okupiło wielkie cierpienie; co do twojej zaś, to słuchaj. — Wskutek niebraterskiej, nieludzkiej wprost zatwardziałości twego serca, odepchnięta przez rodzinę, opuszczona przez człowieka, którego kochałam i dla którego wszystko poświęciłam, którego jednak nie winię, był bowiem tylko... mężczyzną, artystą, pozatem, jak się później okazało, człowiekiem żonatym i, jakkolwiek bolesne jest to dla mojej dumy, muszę powiedzieć, że wprost mu się narzuciłam, że nigdy mnie nie kochał i zawsze stawiał kwestję jasno — otóż, dzięki tobie

(pamiętasz, co mi wówczas napisałeś? Pióro moje wzdryga się dziś jeszcze na przytoczenie ohydnych słów twego listu!), znalazłszy się w skrajnej nędzy, z dzieckiem chorem przy piersi, zmuszona byłam mój bracie, *sprzedawać się*, dla zdobycia kilku rubli na lekarza i lekarstwa. Dziecko wkrótce zmarło. Ja, niestety, przeżyłam je. Trułam się. Odratowano mię. O uczciwą pracę dla osoby z mojemi kwalifikacjami i przy braku wszelkich stosunków w Warszawie było podówczas, jak wiesz, bardzo trudno. Co miałam robić? Miałam wtedy lat dziewiętnaście.... nawinął mi się jakiś oficerek—Moskal, Anastazy na Brochwiczach Brochwiczu, synu i wnuku powstańca! Obiecywał kształcić mię w śpiewie i zrobić ze mnie śpiewaczkę. Zostałam jego kochanką.... Ostatecznie wywiózł mię do Petersburga, sam jakiś czas pobawił się mną jeszcze, potem, położywszy mi na stół dziesięć tysięcy rubli, które cisnęłam mu w twarz, zostawił na bruku wielkiego, obcego miasta.... Byłam już na tyle spodlona i na tyle zapachniało mi życie, że nie miałam nawet odwagi skończyć ze sobą. Staczałam się coraz niżej. Los nie oszczędził mi żadnej hańby, nawet—ohydnej choroby.... Wreszcie dobrzy ludzie, którzy, mimo wszystko, zdarzają się jeszcze na świecie, często tam, gdzieby się tego najmniej oczekiwało, dopomogli mi do wydobycia się z tego bagna. Zostałam śpiewaczką. Odtąd zaczęła się moja tak zwana „karjera", której dziejów opisywać ci już nie będę, znasz je, zresztą, niewątpliwie — z gazet.... Nie o spowiedź z mojego życia przed tobą chodziło mi jednak! Rozpisałam się, poniosła mię gorycz, a mam ci tylko do powiedzenia słów kilka... Kiedyś, bardzo dawno, w jesienny wieczór, na Newą, kiedy było mi najgorzej i kiedy byłam najwięcej zhańbiona, kiedy chciałam skończyć ze sobą, a nie mogłam, i kiedy, gdyby to było możliwe, sama sobie byłabym w twarz pluła, przysięgłam, wzywając wszystkie moce nieba czy piekła, że za hańbę moją i krzywdę mego biednego dziecka zemszczę się na tobie i twojej rodzinie, którą przeklełam wraz z tobą. Zemsta moja dosięgła cię już: straciłeś żonę, córkę i majątek. Ale to nie wszystko jeszcze! Przyjdzie czas, że dosięgnę cię jeszcze w tem, co masz najdroższego.... Oto ostatnie słowa moje do ciebie z za grobu, dla ciebie bowiem, Anastazy, jestem już umarłą! Iza.

Zaległa chwila ołowianego milczenia....

Jakby coś niewidzialnego przesunęło się przez pokój....

Powiało dziwnym chłodem, od którego się równocześnie wzdrygnęli....

Młody Brochwicz otrząsnął się pierwszy. Wypił duszkiem koniaku kieliszek, nerwowo zapalił cygaro i przemówił:

— Istotnie, jedno przeczy całkiem drugiemu i historja jest conajmniej zagadkowa.... Ale powiedz mi ojcze—dodał po chwili—dlaczego byłeś wobec niej wtedy, w samej rzeczy, trochę nieludzki?

— Bo ja wiem dziś.... Młodość, zapalność, duma, przeklęta duma Brochwiczów!... Opowiem ci, jak to się wszystko stało, bowiem ty właściwie nic nie wiesz, a powinieneś wszystko wiedzieć.

— Właśnie, ojcze, chciałem cię o to prosić.

Stary Brochwicz poprawił się wygodnie w fotelu i opowiadał:

— Było to w roku ośmdziesiątym szóstym, w naszych Brochwiczach. Miałem wówczas lat 21, ukończyłem świeżo studja rolnicze i pod okiem ś. p. ojca mojego, a twego dziada, zaprawiałem się do gospodarki na ojczystym zagonie. Matka nieboszczka, a twoja ś. p. babka, umarła na kilka lat przedtem. Iza skończyła właśnie lat siedemnaście i powróciła z klasztoru. Była cudownie piękna, wszechstronnie utalentowana. Grała, śpiewała, malowała. Tylko usposobienie miała jakieś dziwaczne. Od wybuchów szalonej wesołości przechodziła bezpośrednio do ataków melancholji, podczas których, zamknięta w swoim pokoju na górze, nie pokazywała się nikomu i leżała po całych dniach z oczyma wlepionemi w sufit. Kiedyś ojciec nieboszczyk, który ją szalenie kochał i miał dla niej wyjątkowo miękką rękę, znosząc cierpliwie jej dziwactwa i tolerując jej wybryki, urządził dla niej wielkie przyjęcie. Miało być to zarazem jej pierwsze wejście w świat. Zjechało do nas moc gości. Między innemi była niejaka Piórkowska, śpiewaczka z Warszawy, która bawiła w sąsiedztwie, a którą oby piekło na wieki pochłonęło! Iza tego dnia była cudownie usposobiona. Czarowała urodą, humorem, no — i świeżutką tualetą warszawską. Przed kolacją, po której miały nastąpić tańce, zwrócono się do niej z prośbą, aby coś zaśpiewała. Nie dała się długo prosić, jak prawdziwa Brochwiczówna, niewiele sobie robiąc z obecności znanej śpiewaczki. Śpiewała jak nigdy. Goście byli oczarowani, śpiewaczka —wprost rozentuzjazmowana. Twierdziła, że Iza posiada przepiękny głos i grzechem byłoby go nie kształcić. Uchwyciłem się tego w nadziei, że zajęcie się czemś poważnie rozproszy może jej napady melancholji, której źródłem, jak byłem przekonany, była bezczynność. Bóg mi świadkiem, że kochałem jedyną siostrę szczerze!... Iza zapaliła się także do tej myśli. Wyłoniła się kwestja, gdzie i u kogo ma się uczyć? Śpiewaczka radziła, aby Iza zamieszkała w Warszawie i tam oddała się poważnie studjom wokalnym. Na Warszawę jednak ojciec nasz stanowczo się nie zgadzał. Iza, jak ci już wspomniałem, dopiero co powróciła z klasztoru, staruszek więc chciał się nią nacieszyć. Ja również byłem temu przeciwny, bojąc się pozostawić siostrę bez opieki, a i ona niebardzo się do tego kwapiła. Nie lubiła Warszawy, jakby przeczuwając, co tam wkrótce przeżyje.... Wreszcie ojciec zdecydował, że sprowadzi się nauczycielkę lub nauczyciela na wieś. Rozchodziło się tylko o stosowny wybór.

Śpiewaczka, z piekła rodem, oświadczyła, że ma w Warszawie kolegę, spolszczonego Włocha, znakomitego nauczyciela i bardzo przyzwoitego człowieka (tak twierdziło), który zgodziłby się może na kilka miesięcy letnich przyjechać do Brochwicz, potem zaś—zobaczymy. Wprowadzenie do domu jakiegoś podejrzanego Włocha—włoszczyzny nigdy nie lubiliśmy—zarówno ojcu, jak i mnie, niebardzo się uśmiechało. Ostatecznie jednak ojciec uległ namowom śpiewaczki i prośbom Izy, a, niestety — i moim, kochając bowiem bardzo siostrę, dałem się łatwo przekabacić. W parę miesięcy później zjechał Włoch przeklęty i stało się nieszczęście!.. Z początku wszystko szło jaknajlepiej. Makaroniarz zachowywał się bez zarzutu, Iza uczyła się przykładnie, była doskonale usposobiona. Nagle coś się popsuło. Iza zmizerniała, posmutniała, makaroniarz począł mnie unikać. Ojciec w tym czasie niespodziewanie uległ atakowi apoplektycznemu i leżał ciężko chory, nieprzytomny, żywy trup. Wszystko było na mojej głowie, nie odrazu więc zorjentowałem się w sytuacji. Aż pewnego dnia bomba pękła... Iza zjawiła się w moim gabinecie i oświadczyła mi, że kocha italjanina i pragnie go poślubić. Odpowiedziałem jej, że nigdy do tego nie dopuszczę, że żadna jeszcze Brochwiczówna nie popełniła mezaljansu z jakimś tam śpiewaczyną, do tego — makaroniarzem!

Dalszy ciąg nastąpi.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

17) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Dla Simieonowa było rzeczą niewątpliwą, że bolszewicy utrzymają się przy władzy i zawrą pokój z Niemcami.

— Niech pan nie ma co do tego żadnych złudzeń—rzekł—pokój będzie zawarty, oczywiście niekorzystny, ale będzie. Jednakże zły pokój lepszy jest, niż najlepsza wojna. A potem postaramy się o odwet... Ale widzisz pan, Mikołaju Władymirowiczu, jesteśmy młodzi i niedoświadczeni... Jeżeli chodzi o zasady, rząd nie zna, co to wahanie. System jest wytknięty i doskonały. Ale w mechanice spraw brak nam specjalistów. Będziemy mieli do omawiania z niemieckimi ekspertami różne sprawy ekonomiczne i finansowe, i rząd liczy na pana, że przyjmiesz stanowisko doradcy technicznego w Brześciu-Litewskim, stanowisko, które zresztą nie wymaga zgoła, abyś pan podzielał nasze zapatrywania polityczne i społeczne.

Pomimo silnego postanowienia, żeby się nie dziwić niczemu, Sawinski nie mógł powściągnąć ruchu, wyrażającego szczere zdumienie. Garstka ludzi, którzy przemocą doszli do władzy, ta banda wygnańców i Żydów musiała widocznie, podczas długiego pobytu zagranicą, stracić poczucie odcieni. Jakto! oni rościli sobie prawo przewrócenia do góry nogami całego dawnego społeczeństwa, unicestwienia nawet jego zasad i oto przy pierwszej napotkanej trudności zwracali się do niego, który był właśnie jedną z głównych podpór zwalczanego przez nich tak zaciekle ustroju...

Ale cóż! Trzeba było utrzymać kontakt z Simeonowem i rządem Smolnego Instytutu i Sawinski pozwolił sobie na udzielenie na tę tak jasno postawioną propozycję możliwie najdłuższej i możliwie najzawilszej odpowiedzi. Wynikało z niej z tysiącem zastrzeżeń, że aczkolwiek Sawinski nie uważał się za odpowiednio przysposobionego do przemawiania w imieniu ludowego rządu i dyktatury proletarjatu na posiedzeniach w Brześciu Litewskim, sądził wszelako, że, jako obywatel rosyjski, nie ma prawa odmawiać technicznej porady ludziom, którzy podejmą się przeprowadzić tak trudne, ekonomiczne układy z Niemcami. Był zatem do rozporządzenia rządu, o ile on tego zażąda. Byłoby lepiej, gdyby to się odbywało w Banku Północnym. Odwiedziny Sawinskiego w Smolnym obudziły by z pewnością ciekawość i wywołały komentarze, które nie byłyby miłe ani przywódcom rządu, ani jemu samemu, co zresztą Simeonow musiał widocznie zrozumieć, skoro naznaczył mu potajemne spotkanie w czterech ścianach restauracyjnego gabinetu.

Simeonow nie zdawał się być zadowolonym z tej odpowiedzi, ale wobec stanowczości Sawinskiego nie nalegał i rozmowa wzięła obrót bardziej fachowy.

Ale w chwili rozstania Sawinski nie mógł się powstrzymać, aby niezapytać wręcz:

— Jakie są wasze szanse powodzenia i trwałości?

Simeonow odpowiedział:

— W tym rachunku prawdopodobieństwa, bądź pan pewny, Mikołaju Władymirowiczu, że postaramy się mieć za sobą wszystkie szanse. Słyszałeś pan, co powiedział Lenin w jednem ze swoich przemówień: „Towarzysze, pracujmy dla zasad, ale nie zapomiajmy o bagnetach".

— Pamiętaj pan — ciągnął dalej Simeonow, głosem, w którym dźwięczała groźba, — że teror jest w naszym programie. Nie zastosowaliśmy go jeszcze. Ale dajcie nam trochę czasu, a każdy zrozumie wkrótce, że w Rosji nie można wybierać, tylko trzeba się poddać!

Stalowe oczy Simeonowa błysnęły silnie. Sawinski uświadomił sobie jasno, że jeżeli dawny oficer gwardji pełniłby obowiązki komisarza dla kontr-rewolucji nikt nie znalazłby drogi do jego serca i że odwoływanie się do jego litości byłoby daremnem. Nieugięta, zrównoważona wola byłaby tu na usługach inteligencji najbardziej chłodnej, najbardziej jasnej i najbardziej ograniczonej w świecie.

— I pan będziesz Robespierrem Nieprzejednanym — rzekł Sawinski z uśmiechem.

Simeonow wzruszył ramionami:

— Skoro zajdzie potrzeba — rzekł chłodno.

Gdy mieli się już żegnać, Simeonow wyciągnął rękę do Mikołaja Władymirowicza.

— Będziesz pan finansistą w zawieszeniu — rzekł. — Zdaje mi się, że jutro rano zajmiemy banki.

Zatrzymał się, aby dać czas swemu interlokutorowi zrozumieć w pełni znaczenie wiadomości, jakiej mu udzielił najchłodniejszym w świecie głosem.

Poczem dodał, jakby niedbale:

— Osobiście nie potrzebujesz się pan lękać niczego. Potrzebujemy pańskich uzdolnień.

— A więc — rzekł Sawinski, uznawszy wszelki opór za zbędny — postąpiłbyś pan mądrze, Leonie Borysowiczu, zapewniając mi tymczasem bezpieczny powrót na Aptekarski Pereułok. Nie wymawiając, zostawiacie nas panowie w ciemnościach, a Mojka to istna zbójecka jaskinia.

— Mam automobil — odpowiedział Simeonow, odzyskawszy dobry humor — odwiozę pana. Grożą mi te same niebezpieczeństwa co panu, ale nie zastanawiam się nad tem. W dzisiejszych czasach, mój drogi, moje życie i pańskie jest na łasce losu. Ale mniejsza z tem! W każdym razie, nie będzie u pana teraz żadnej rewizji. Gdyby dzwoniono w nocy, nie otwieraj i telefonuj pod numer 4-15. Natychmiast będzie posłany patrol.

Żołnierz w mundurze prowadził automobil Simeonowa. Jechał Miljonową. Przejeżdżając koło domów Szupow-Karaminów, Sawinski zobaczył światło w oknach i kazał przystanąć.

— Zechcesz pan złożyć moje uszanowanie pięknej Natalji — rzekł Simeonow, kłaniając się.

Nowina, jaką Sawinski usłyszał, nie zdziwiła go. Był doskonale powiadomiony o wszystkiem, co się działo w Smolnym, i już przed kilku dniami ostrzeżono go, że zajęcie banków nastąpi niezwłocznie. To też urządził się odpowiednio.

Teraz, gdy zobaczył światło u Szupow-Karaminów, pomyślał zaraz, że może Lydja tam jest, że ją zobaczy, że ją poprosi, aby go zaprowadziła do ojca, któremu chciał oszczędzić przykrego wrażenia złej rozmowy z samego rana jutro.

Lydja znajdowała się rzeczywiście w salonie Natalji. Zobaczywszy wchodzącego Sawinskiego, wstała i podbiegła ku niemu, mówiąc:

— Nie spodziewałam się zobaczyć pana dziś jeszcze! Jak to dobrze, żeś pan przyszedł.

— Tylko dla pani przyszedłem — rzekł łagodnie Sawinski, przytrzymując jej rączkę w obu dłoniach. — Zaprowadzisz mnie pani zaraz do ojca. Mam z nim do pomówienia.

Natalja i lord Douglas, patrzyli na tych dwoje z ciekawością.

Sawinski zbliżył się do reszty towarzystwa. Całodzienne wrażenia, spacer nad Fontanką, szermierka z Simeonowem, kiedy chwilami zdawać się mogło, że fechtunek idzie na ostre, wreszcie sposób, w jaki go powitała Lydja, wszystko to wprawiło go w stan bardzo przyjemnego podniecenia; życie ukazywało mu się niby baśń czarodziejska o zmiennych widokach, z których jedne były ponure i tragiczne, a inne naodwrót przedstawiały urocze krajobrazy wiejskie, tonące w błękitnawej pomroce, kędy niewidzialny flet w głębi sadów nucił rozmarzającą miłosną pieśń.

— Co panu jest dzisiaj, Mikołaju Władymirowiczu? — zapytała głośno Natalja. — Wyglądasz jak odmłodzony o dziesięć lat. Czy przynosisz nam pan dobrą nowinę?

— W każdym razie wielką nowinę — odpowiedział Sawinski. — Czy dobrą? To zależy, jak kto ją rozumie. Nowinę o fakcie, który może przyśpieszyć upadek Sowietów. Czy pani to nazywasz dobrą nowiną?

— Ależ oczywiście — odpowiedziała Natalja, prowadząca rozmowę za resztę obecnych, którzy słuchali milczący i skupieni.

— A więc, ciesz się pani. Wszystkie banki piotrogrodzkie będą jutro zajęte przez bolszewików.

— Ależ, cóż to znaczy? — zapytała jakaś otyła dama. — Jakąż zmianę sprawi to w interesach?

— O! nic nie znaczącą — odpowiedział Sawinski — o ile zapatrywać się na to z punktu wieczności, jak mówią filozofowie. Nie będziecie państwo mogli otrzymywać już pieniędzy na wasze rachunki bieżące i wasze kasety będą zasekwestrowane.

W tej chwili Szupow-Karamin przytoczył się na swoich krótkich nóżkach do Sawinskiego.

— Przestań żartować, kochany! — zawołał cierpko. — Czy to pewna wiadomość? Toż to ruina dla nas wszystkich. Pieniądze naszych rachunków bieżących. Ależ to rozbój na równej drodze!

— To jest polityczny krok ściśle zgodny z zapowiedziami sowieckiego rządu — rzekł Sawinski. — Oczywiście, że jesteśmy zrujnowani... Ale sądzę, że nasza ruina pociągnie za sobą ruinę rządu i że w ten sposób zajęcie banków przyspieszy upadek bolszewików.

— Ale kiedy? — zapytała Natalja, która zdawała się tracić zwykłą zimną krew. — Kiedy? Nie dręcz że nas pan... Jesteś okropny ze swoją ironją.

Nie dodała ani słowa więcej, ale z wyrazu jej twarzy można było odgadnąć, że przywiązywała znacznie większą wagę do tego, co zawierała jej kaseta niż do sum na rachunku bieżącym.

W salonie zapanowało wielkie wzburzenie. Każdy rozumiał, że z zajęciem banków dawniejsze społeczeństwo, które pomimo częściowego zrujnowania trwało jednak w swych głównych zarysach, rozpadało się od jednego zamachu.

Lord Douglas pozostał niewzruszony. W chaosie krzyżujących się wykrzykników i zapytań pochylił się ku Lydji, obok której siedział:

— Zatem jesteś pani zrujnowana *dear little thing* — rzekł. — To bardzo interesujące!

Lydja wzruszyła ramionomi. Twarzyczka jej rozjaśniła się.

— To niema żadnego znaczenia — rzekła.

Korzystając z ogólnego zamięszania, Sawinski zwrócił się do Lydji, ponawiając żądanie, aby go zaprowadziła do ojca. Wstała natychmiast i pożegnała Natalję. Sawinski poszedł za jej przykładem.

Wkrótce znaleźli się na obszernym dziedzińcu, dzielącym oba pałace. Dwornicy grzali się przy ogniu, rozpalonym w pobliżu jednej z bram i ruchome płomienie oświecały wielkim kręgiem zaspy śniegu, regularne stosy szczap nagromadzonego na zimę opału, nagie mury domów i mętne postacie dworników, otulonych w tołuby i zwolna tupiących podeszwami o zlodowaciały śnieg.

Po wyjściu z salonów Natalji Szupow - Karamin olśniewających dawniejszym zbytkiem, Sawinski miał znów przed oczami jeden z obrazów rewolucji. To nocne czuwanie ku obronie przed niebezpieczeństwami niewidzialnemi, ale niemniej rzeczywistemi, przypominało mu, że to wielkie miasto, jakby zamarłe pod mroźnym całunem zimy, było pełne wrogów, przeciw którym należało się bronić.

Ta świadomość uczyniła mu życie tem droższem i zacieśniła ogniwa uczucia łączące go z tą dzieweczką, która szła przed nim lekka i wdzięczna.

Weszli przez drzwi służbowe, minęli kilka korytarzy i znaleźli się w obszernej, źle ogrzanej komnacie, będącej galerją obrazów księcia Sergjusza. Lydja zapaliła lampę elektryczną i rzekła:

— Czy chce pan zaczekać u mamy czy tutaj? Muszę uprzedzić ojca.

Sawinski nie miał bynajmniej ochoty zobaczenia księżnej Heleny i jej starego przyjaciela Wasiljewa, którego czcza gadanina drażniła go. Został więc w galerji obrazów, słabo oświetlonej palącą się na stole lampą. Nawprost niego wielki krajobraz Poussina roztaczał przestrzenie ciemnej zieleni, ujęte w złoconą ramę. Sawinski dojrzał na tem tle jakąś Eurydyce, uciekającą brzegiem rzeki. Dalej rysowała się smukła postać Apollona Sauroctona, tuląc się w cieniu napełniającym głąb sali.

W ciszy tej obszernej komnaty, gdzie arcydzieła wywoływały wspomnienia dawno minionych cywilizacji i uroki życia pędzonego pod błękitami piękniejszego nieba nad brzegami mórz, rozbijających się o skały spalone słońcem, Sawinski uczuł się przeniesionym zdala od Piotrogrodu do jakiejś Arkadji, i gdzie mu towarzyszyła Lydja.

W chwilę potem weszła ona sama.

— Tatuś czeka na pana — rzekła. — Jest bardzo zdenerwowany, ale chce pana widzieć.

Sawinski poszedł za nią. Gdy zbliżali się do drzwi pokoju księcia, ujął jej rękę i przytrzymał ją.

Nie zdziwiła się i zwróciła ku niemu uśmiech swych oczu i swych rozchylonych ust.

Pozostali tak kilka chwil w milczeniu.

Sawinski pochylił się ku niej.

— Chciałem pani tylko powiedzieć — rzekł — że jestem bardzo szczęśliwy.

Uścisnęła mu rękę zamiast odpowiedzi i wprowadziła go do pokoju księcia Sergjusza.

VI.

PODEJRZANY ZAUŁEK.

Sawinski był wściekły na Simeonowa. A bardziej jeszcze niż cynizm propozycji, jakie mu ten czynił, drażnił go ton, jakim ów bolszewicki działacz zażądał jego współpracownictwa... Czy dobrze uczynił obiecując udzielać rad technicznych obecnym władcom? Czy nie brał w ten sposób pewnej odpowiedzialności bodaj najmniejszej w przedsięwzięciach bolszewickich wiodących Rosję w przepaść?

Coby powiedziano, dowiedziawszy się, że on, Sawinski, jest w tajemnych stosunkach z dyktatorami terorystycznymi? Panowanie ich będzie krótkotrwałe. Pozostanie mu więc tylko wstyd, że uległ ich nagabywaniom. I dlaczegóż to uczynił? Poco ten upór pozostania w Piotrogrodzie?

Dalszy ciąg nastąpi.